

Michałowska Iwona

Jolanta

Z „*Science Fiction*” nr 7 – sierpień 2001

*Terry 'emu Bissonowi - za Anglię
Chrisowi Carterowi - za czwartkowe wieczory
Williamowi Gibsonowi - za nowe ścieżki
i Janis (J.R.) - za dopełnienie obrazu*

Ostrzegali, że żelastwo może sięść, ale myślałam, że dotyczy to jedynie wielkich mózgow. A tu proszę - durna, czterościeżna pała dostaje kręćka z powodu nastania dwójki i trzech zer. Sam moment był zresztą niczego sobie, adekwatny do nastroju, w jakim znalazłam się chwilę wcześniej. Coś jak trąba powietrzna: w centrum ja, a naokoło szal niebieskich ciał. Strumienie wszystkich ściegów, jakimi dysponowałam, w morderczym pędzie wokół własnej osi zlewały się ze sobą, kreując zaskakujące wizje: agenci FBI testujący aparaturę w rafinerii, Alva w pościgu za Duane'em Barrym, Jolanta w balowej sukni w pałacu Kaisera. Gorzej było potem, kiedy trąba osiadła. Trzeba było rozejrzeć się wokół i dojść do wniosków.

Sylwestra spędzałam w Emmie, bo nie uśmiechało mi się latanie przez całą noc po Skylandach i tropienie kosmitów. W Vancouver jest koszmarnie zimno o tej porze. Przeszłam w Emmę z samego rana i zaczęłam szykować sobie kreację, bo w tamtych czasach bardzo się dba o tego rodzaju sprawy. Miałam nadzieję Spotkać się na balu noworocznym z atrakcyjnym i dobrze wychowanym młodzieńcem o wdzięcznym imieniu Alva, w stosunku do którego pielęgnowałam subtelne i tklive uczucie. Byłam ogromnie wdzięczna mojej dalekiej kuzynce, księżnej von Einstein, skoligaconej z wysoko postawionym rodem Kaiserów, z którego ów Alva się wywodził, za to, iż zdołała postarać się dla mnie o zaproszenie na bal. Odbywał się on bowiem w położonym w centrum miasta pałacyku, pobudowanym przed laty na zamówienie stryja Alvy, Wilhelma Kaisera, i służącym jemu i jego krewnym oraz ustosunkowanym znajomym za miejsce letniego wypoczynku, rozrywek, a niekiedy także i rozmaitych działań natury artystycznej.

Nietrudno się domyślić, że sprawienie sobie odpowiedniej na tę uroczystość kreacji wymagało niemałych nakładów finansowych, stąd w ostatnich tygodniach 1999 roku więcej niż zwykle czasu poświęcałam zarobkowaniu. Ponieważ praca na ogół sprawia mi ból przeogromny, postanowiłam zastosować środki drastyczne i wprost ze Scully, w której spędzam większość pory nocnej, przechodziłam w Translator, ten zaś automatycznie odpalał plik Rozwój Recyklingu Olejów Smarowych lub inny mu pokrewny, nad którym akurat się pastwiłam. Ku memu szczeremu zdziwieniu, przejście odbywało się na ogół szybko i w miarę bezboleśnie. Moja miłość strumieniami lała się przez rury i komory rafinerii, a one odwdzięczały mi się na swój subtelny sposób. Nie uszedł mojej uwagi fakt, iż dzięki zastosowaniu konwersji z pominięciem ściegów pośrednich, nie musiałam nazbyt często wchodzić w Jolantę, co trudno przecenić.

Kiedy przybyłam do pałacu, szeleszcząc jedwabiami i połyskując brokatami, oko moje natychmiast uловиło" boskiego Alwę i spoczęło na jego męskiej postaci na chwilę dostatecznie długą, by to zauważył, nie dość drugą jednak, by wzbudzić szemrania gawiedzi. Wszelako ów oblegany był przez damy przybyłe w okazalszych od mego strojach, co zafrasowało mnie odrobinę, aczkolwiek nie na tyle, by zachwiać mym niezłomnym postanowieniem zawładnięcia tej nocy sercem boskiego Alvy.

Gdy tylko tłum dam na moment się rozproszył, wiedziony jakimś godnym jego uwagi wypadkiem (zdaje się, iż było nim przybycie arcyksięcia Ferdynanda Wspaniałego), skorzystałam ze sposobności i posłałam Alvie uśmiech tak okazały, iż, nie mogąc mu się oprzeć, ruszył ku mnie niczym na postronku ciągniony.

- Witaj, pani - pozdrowił mnie aksamitnie. - Czyśmy się już kiedyś spotkali?

- Jestem Emma Valdés - powiedziałam. - Kuzynka księżnej von Einstein, która, o ile mi wiadomo, ma zaszczyt być również pańską krewną.

- Zatem zwolniła mnie pani z obowiązku przedstawiania się - uśmiechnął się uroczo boski Alva. - Czy pozwoli pani, że postawię jej drinka a konto naszej świeżo zainicjowanej znajomości?

Po chwili gawędziliśmy już na całego. Tak jak się spodziewałam, Alva okazał się młodzieńcem nie tylko urodziwym i szarmanckim, lecz także wybitnie inteligentnym i uzdolnionym. Jego rewolucyjny projekt

udoskonalenia skonstruowanego przez Bella telefonu wprawił mnie w osłupienie, błędne jednak przy podnieceniu, jakie ogarnęło mnie, gdy spoglądając w jego orzechowe oczy słuchałam opowieści, z której stopniowo wyłaniał się największy wynalazek Alvy, a może i całej naszej epoki, wynalazek, który - jeśli zaistnieje w pełni - rzuci na kolana cały świat.

Alva postanowił mianowicie skonstruować maszynę do wszystkiego.

- Będzie tak mała - mówił - że każdy człowiek będzie mógł ją nosić wszczepioną o tu, pod skórą - przytknął palec do swojej skroni - i korzystać z niej, kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota. Nazwę to implantem - powiedział - czyli wszczepem.

- Pan jest niezrównany - zaopiniowałam.

- Czy zechciałaby pani obejrzeć moje projekty? - zapytał z jakąś dzieciinną natarczywością.

Nie bacząc na swą ułomność w dziedzinie nauk ścisłych, podążyłam za młodym wynalazcą ku schodom, wiodącym do podziemi pruskiego gmaszyska. Wiódł mnie przez niezliczone, kręte korytarze, aż dotarliśmy do niewielkiego pomieszczenia, będącego najwyraźniej pracownią Alvy. Leżało tam mnóstwo metalowych i plastikowych części, niektóre poskładane w jakieś konstrukcje, inne zaś zupełnie odosobnione. Stało także biurko, a na nim wały się liczne papiery, przedstawiające jakieś zapiski, równania i szkice.

Pogrzebawszy chwilę w owych papierach, Alva wydobyl jeden z rysunków i wręczył mi go.

- Oto i ona - rzekł. - W skali 5:1. To znaczy, że w rzeczywistości będzie pięć razy mniejsza.

Zastanawiałam się, jakim sposobem tak niewinnie wyglądająca konstrukcja może być maszyną do wszystkiego.

- Chodzi o to - tłumaczył mi Alva - iż człowiek zwykł błędnie uznawać to, co postrzega jego pięć zmysłów, za rzeczywistość. Tymczasem jest to zaledwie okrucz rzeczywistości, w dodatku mocno wypaczony. Jeśli jednak damy sobie do dyspozycji całą rzeczywistość, staniemy się nieskończenie bogaci - a zarazem nieskończenie zagubieni, jeżeli nie będziemy mieli w ręku kompasu, pozwalającego nam odnaleźć pożądaną drogę pośród owej nieskończoności. Zadaniem maszyny nie jest bowiem stwarzanie, lecz umożliwianie widzenia - tak, jak to czynią noktowizory czy choćby zwykłe okulary - oraz słyszenia, czucia, wachania i smakowania rzeczy, których bez jej udziału nie postrzegamy. Żadne to czary, choć postronny umysł takimi mógłby je uznać. To dlatego, pomiędzy innymi, prowadzę moje badania w odosobnieniu.

- Maszyna do wszystkiego... - rzekłam w zamyśleniu. - Czy przez wszystko rozumie pan ogół rzeczy, które istnieją, czy też ogół rzeczy, które jesteśmy zdolni sobie wyobrazić?

- To jedno - odparł Alva.

Było parę rzeczy, które lubiłam sobie wyobrazić.

- Alva, pan zastawia sidła na samego siebie.

- Zapomniałem wspomnieć - dodał z rozbijającym uśmiechem - że wszystkie implanty sprzężone będą z centralną maszyną, a ta, rzecz jasna, będzie pod moimi rozkazami.

Kiedyśmy tak błogo gawędzili, coraz bliżsi siebie i niebaczni na upływający czas, uszu naszych dobiegło zmienacka bicie dzwonu w pałacowej wieży i jakieś okrzyki ponad naszymi głowami.

- O rany! - zerwał się Alva. - Już północ! Byłam wcale kontenta, iż nadejście Nowego Roku, po którym wiele sobie obiecywałam, zastaje mnie w wyłącznym towarzystwie boskiego Alvy, a i on sam nie wydawał się być zmartwiony tą okolicznością.

- Za rok dwutysięczny! - powiedział, podnosząc kieliszek i zbliżając swe usta do mojego policzka.

Zaledwie szkło brzęknęło o szkło, zegar uderzył po raz dwunasty. Wtedy zwariowałam.

Ocknęłam się w jakiejś podłej imprezowni. Cierpiałam, i ludzie, którzy wokół mnie się snuli, podobne sprawiali wrażenie. Nie przypominałam sobie, abym ich znała, co zrodziło we mnie ponure przypuszczenie, iż siedzę w Jolancie.

Jolanta to najnędniejszy ścieg, jaki mam we łbie. Rzadko tam zaglądam. Podobno był to pierwotny ścieg, w którym pracowałam, nim wyposażono mnie w konwerter. Legendarne to czasy. Niekiedy wpadam tam z pobudek masochistycznych, kiedy życie zbyt mi rozpieszca. To coś jak ścieżka zdrowia dla ducha: warto raz po raz się pomęczyć, żeby nie zgnuśnieć. Ale żeby tak prosto z objąć boskiego Alvy wpadać zmienacka w Jolantę, która bez perspektyw budzi się z sylwestrowej nocy - to już była lekka przesada. Żelastwo musiało naprawdę ogłupieć.

Zwlokłam się i wydobylam na ulicę. Osiedle, po którym stapałam, nie było mi znajome, ale ogólny nastrój miejsca nie pozostawiał wątpliwości: Poznań, ta przeklęta, szwabska wiocha. Zastanawiałam się, dokąd by tu pójść, i po krótkim namyśle zdecydowałam się na Scully. W pałacu już pewnie skończyli i nie miałam tam nic do szukania - musiałam zresztą przyznać, że teraz, po opuszczeniu Emmy, mniej miałam podziwu dla wdzięków boskiego Alvy, a w jego chorobliwej wizji maszyny do wszystkiego podejrzewałam

echa traumatycznych przeżyć z dzieciństwa - a zimniej i bardziej ponuro niż tutaj nie mogło być nawet w Vancouver.

Kliknęłam Scully na menedżerze ściegów i zamknęłam oczy, czekając na zbawczy furkot pracującej makówki. Ten wszelako nie nastąpił. Kliknęłam raz jeszcze - z równym skutkiem. Makówka najwyraźniej odmawiała współpracy. Ty durny, głupszy od Gameboya ptasi mózdzku, skłęłam ją czule i z niemałą dozą lęku odemknęłam powieki. Myślałam, że spanikuję, ale nie: tylko jakiś smutek przejmujący mnie ogarnął, tak przejmujący, że aż dech zaparło mi w piersiach na dłuższą chwilę. Żelastwo zdechło, a ja tkwiłam po uszy w gównie zwanym Jolantą i miałam w perspektywie spędzenie w nim reszty życia. Podejrzewałam, że będzie - to nadzwyczaj krótka reszta życia.

I tak idę przez tę posępną krainę, rozmyślając o rzeczach, których nie zdążyłam zrobić, kiedy jeszcze czas był po temu i sposobność, a tu nagle brzęczyk jakiś za pazuchą mi gra. Stanęłam jak wryta, boć przecież niepodobna, żeby taka mizerna Jolanta komórkę ze sobą nosiła. Pomacałam się jednak po katanie i czuję jakiś podłużny kształt, po który czym prędzej sięgnęłam. Że zaś ubiór miałam obfity, trochę trwało, nim zdołałam tę komórkę - bo w istocie była to komórka, najprawdziwsza na świecie, choć trochę prymitywna - zza pazuchy wyłuskać. Gdy wreszcie jej dobyłam, okazało się, że ten po drugiej stronie zdążył już się wyłączyć. Szlag mnie trafił i trzymał dotąd, póki nie spojrzałam na wyświetlacz i nie znalazłam tam numeru, który mi zostawił. A kiedy na ten numer wejrzałam, od razu słońce weszło nad moim horyzontem.

Pewnie już się domyślacie, kto dzwonił.

Iwona Michałowska